

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

JÓZEF RUFFER.

Z CYKLU „MORZE“.

IX.

O łodzi moja, pierwsza smukła łodzi!...
O moje giętkie, dwukończyste wiosło!...
Szczęście nas niosło, upojenie niosło
I wiódł nas Morza Duch, co w Dal uwodzi!..

Zapadły brzegi i zapadło Słońce.
Mknęliśmy smukli przez Morze — bezdroże —
„Słodkość się, łodzi, żywioł płynny porze?
„Lekkość się, wiosło, wtapiają weń końce?..“

Wysmukli, lotni, upojniemy mknęli.
„Ohej! noc gwiazdnym urokiem nas zwierza!
„Nuże w dal! gwiazdy wylawiać z topieli!..

„O nocy gwiazdna, o mroczne bezbrzeża,
„O łodzi smukła, giętkie wiosło moje,
„Cichajcie!...
„Oto się Duchem wiecznym Ojca poję..“

X.

Pamiętasz, Morze, ono dźwięczne granio
Słowa, coć gromko niem witaly Greki?
Wytrysło z znoju pustych dróg i spieki
Jak nagłe Słońce, kiedy z za gór wstanie!..

I dalej w płasy ono huczne słowo
Na twoje święte, hjacyntowe wody!..
I oto winą się w niem korowody
Statków, prujących twą pierś kryształową...

I oto w onem wielkiem, słodkiem słowie
Splawili z ciał swój znój i kurz Grekowie!
Oto już w statkach są! rozpięli żagle!..

Hejże! i oto dobry wiatr wstał nagłe
I brzeg ojczyściej ziemi — niedaleki!..
— Pamiętasz, Morze?.. Wszakim ja był z Greki..

XI.

Mistrzem mi byłoś, Morze, nad wsze mistrze,
Objawicielem pięknego żywota,
Co ciszę cisz zna i burzą się miota
I w jasność chadza i w tajnie najmglistsze...

Na statkach żagle rozpiąłem bystrze,
Pędząc wiatr, dokąd była mi ochota;
W głębie twe śmiele rozwierałem wrota
Po sytość Ducha i perły najczystsze.

Chytrzem podchodził twe fale olbrzymie,
Podpatrywałem twe z księżycem sprawy.
Gwiazdom dawałem dla dróg twoich imię.

A one chwile wyniosłe, ogromne,
Gdym tonął dumny, ilekroć, nie pomnę,
Znaneć, mój mistrzu srogi a łaskawy...

XII.

O czem ty jeszcze szumisz?.. Ucho tonie
W szumach twych, Morze, i pije i słuca
I słyszy... wieści o przedwiekach Ducha...?
Pieśń tajemniczą o Ojczystem Łonie...?

Byliśmy Jedno z Ojcem, szumisz, Morze?
W ciszach żyjący nad twemi Wodami?
A dzisiaj — szumisz — ciało grzech mi plami?
I Duch się nuży przez mroczne bezdroże?..

Byliśmy Jedno... i przyszła godzina
I trzeba było odejść mi od Ojca?..
Odejść?.. od Ojca... Duch mój przypomina...

Jakoż boleśnie!.. Tak, byliśmy Jedno —
Szum twój wspomina szczęśliwość: beżedno
I z Ojczystego woń niesie Ogrojca...

XIII.

— — Szumisz: utonąć w Ojcu...?

XIV.

Zamilknij Morze...
Roztęskniających przypomnień uwodne ucisz poszumy —
Otom uzbroidł się w spokój i pawęż przed się wziął dumy
I mam się w żmudną swą drogę: nie wstrzymaj mnie szum
[twój, nie zmoże...]

Wziąłem od ciebie, co moje, skąpałem w pięknościach
[tych dusę,
Skrzepiłem się Głębią twą, Morze, i kielich wypilem aż
[do dna.
Boska zaiste biesiada! i duszę w gościnie mieć godna,
Lecz teraz zamilknij, nie uwodź... chcę odejść i odejść
już muszę.

Nie uwodź!.. Odchodzę z weselem na ciężkie powszednich
[prac znoje:
Wszakom jest, Morze, ze ziemi i przeto chcę oddać, co
[ziemi —
Nie uwodź, zamilknij!.. z weselem podimam żywota trud
[mnoży!

A jeśli kiedy zwątpienie wtargnęło zdradziecko w dui moje,
Ty, Morze, szumieć mi będziesz łanami powichrzonymi
Mojej północnej ziemi: iż znajdę Ojczyście swe Progi...

KAZIMIERZ OSTROWSKI-BELZA.

KIEDY WIECZORNE BIJĄ DZWONY.

Kiedy wieczorne biją dzwony,
Gdy zachód luną rozpalony...

Przez pola puste już jesienia,
Smutne, jak młodość konająca,
Śmierć idzie, stopą liście trąca,
Co się barwami złota mienia.

Idzie nad wodą, która śpi,
Spokojna, cicha toń, bez skaz,
Potem podchodzi do mych drzwi
I puka cicho: pójdź, już czas!

Gdy zachód luną rozpalony,
Kiedy wieczorne biją dzwony...

ANTONI PIOTROWSKI.

PERŁY.

Noc była czarna, tą czarnością prawie dotykała — tylko chwilami przerywała się czarna opona nocy, błyskami dalekich piorunów i wareszał oddalony grzmot.

W parnem powietrzu tej czarnej nocy, było czuć zapach macierzanki rozpalonej dziennym upałem i wonnych ostów, przypominających zapachem bławatki.

Z lekkim powiewem wiatru, gdzieś z płaskowyzów, dochodził zwiędły zapach żółtej kukurudzy.

Pod urwiszą skałą w dole, jęczało zwolna ocieźnięte morze — przelewając swe wody miarowym ruchem przez pokruszone odłamki skał. — W górze w nieprzeniknionej czarności chmur słychać było tajemnicze gruchanie żórawi, ciągnących ku dalekim południowym krajom.

Pod krzakiem migdałowym, siedział koźlonogi Faun, którego wypukłe oczy błyskały czasem fosforesywnie jak ślepie żbika. Trzyma on w rękach obrosłych szerścią, fletnię zrobioną z kawałków trzeiny — co rosła na płytkich limanach w dole. Wiele już nocy takich — jasnych lub ciemnych, przesiadział koźlonogi Faun — pod krzewem migdała i wiele już razy echo nadmorskich wyżyn rozniosło żałosne i lubieżne toni jego fletni. — Nieraz tony nabrziałe tęsknotą wprawiały w tajemnicze drgania wstęgi bodiaki — to znowu fletnia wydawała tony wysokie jak głosy wabiącego się ptactwa — albo bolesne nuty niecierpliwiej żądry.

Czemu samotny — kwiliła fletnia.... samotny.... powtarzało echo.

„Przyjdź aeh przyjdź — czekam, czekam“ — odzywało echo.

Pragnę ciebie — pragnę — pragnę... drwiło echo.

Z głębi cichego dotąd morza ozwał się przyciszony zrazu szum. Kwiaty pachnących ostów pochyliły głowy pod gorącym tobnieniem wiatru, drobne listki migdałowego krzewu zeszeleściły nad głową Fauna koźlonogiego.

Gdzieś nad horyzontem dalekim płaskiego morza pękła z traskiem czarna powłoka — i fioletowe światło błyskawicy oblało zdziwione trawy, drzewa i kamienie.

W tem mistycznym filjotowem świetle, Faun zobaczył schodzącą z pobliskiego pagórka, na którym rosty winne krzewy — ją — nagą, okrytą tylko płaszczem bujnych włosów.

Gdy światło błyskawicy, drgnawszy kilka kroć, zgasło, Faun dostrzegł w ciemnościach jakby opalowe, blade widmo — to był cud — co raz bliżej... co raz bliżej...

Koźlonogi Faun wyciągnął spragnione ramiona... Stała przed nim.

Jej ciało jak płatek białej lilii splamionej listkami pasowej róży — jej oczy głębokie jak morze, co tam na dole zaczynało wyć gniewliwie... włosy jak złoto, które się zlewało strugami po jej białych ramionach.

„Czego ty chcesz odemnie, bo tyś mnie od dawna wołał“ — spytała spokojnie.

„Tak, ja ciebie wołałem“ — wyszeptał spiekłemi ustami koźlonogi Faun — „patrz, ciało moje wyszło z tęsknoty jak trawa na morskim piasku... Każda kropla krwi mojej jest tak spieczona — że zdaje mi się, ołów roztopiony krąży mi w żyłach.“

„A cóż mnie to wszystko obchodzi — a zresztą mnie tam dobrze pod winnemi latoroślami — gdzie grona są tak blisko ust, że tylko otworzyły, a soczyste jagody same się weiskają...“

„Ależ ja ginę z tęsknoty...“

„No, więc co z tego... myślisz, że mnie to wzrusza — wyobrażasz sobie pewno, że ja będę razem z tobą gryźć twarde migdały i niedojrzałe figi... albo będę chodzić po ostrych kamieniach nad morzem i zbierać kraby?...“

„Ja bez ciebie już żyć nie potrafię, od chwili kiedym cię ujrzał, taką o jakiej marzyłem przez długie, długie tęskliwe noce.“

„Zresztą, trochę mi cię żal — ty dosyć ładnie grasz na flecie — ale cóż — ja przywykłam żyć bez troski — a ty ciągle musisz latać po ostrych trawach, szukać żółwi i gonić za szybkimi zającami, ptaki boją się ciebie — a mnie siadają na rękę i bawię się z niemi.“

„Ale ja ciebie tak potrzebuję jak życia, bez ciebie śmierć tylko mi pozostaje.“

„Przecież ci mówiłam, że mi cię trochę żal — ale już wielu Faunów, z tamtej strony winnic, mówiło to samo — ale to wszystko nieprawda, bo żaden nie zrobił tego, czego od nich chciałam!“

„Ja zrobię wszystko, co zechcesz...“

„Tak — no to zobaczymy, czyś ty inny od reszty. Wiem, że w tem gniewnem morzu, które tak bezustanku zrzedzi — są perły...“

„Tak, słyszałem o tem...“

„Więc mi przynieś z morza perłę ot tyłą, jak koniec mego palca — bo ja mam wielką ochotę posiadać taką perłę.“

„Albo będziesz miała perłę, albo ja umrę.“

„No tak, to dobrze — wtedy pomówimy, zdaje mi się, że wtedy już ci nie odmówię, żebyśmy razem spędzali czas.“

„Ale słyszysz ty, jak się morze gniewa — może to nie dobrze teraz szukać pereł...“

Blask piorunu rozjaśnił noc czarna — w świetle tego blasku oczy nimfy wydawały się jakby ze stali polerowanej, około ust jej rozchylnych widać uśmiech oczekiwania. Grzmot przeciągły, jak turkot tysiąca wojennych wozów Sermaheriba — zagrzmiął, gdy blask zagasł. Morze z rykiem, jak wściekły lewiatan darło się spienioną paszczą fal na skalisty brzeg — i pluło pianą. Zdala od czarnego horyzontu dochodziły głosy zmieszane oszalałych morskich potworów.

Przelekłe drzewa i trawy nadbrzeżne pochyłyły przeleknięte głowy przed gniewem żywiołów.

Idę — wyszeptał Faun.

Może później. —

Wróć — do ciebie.

I koźlonogi Faun skierował się nad stromy brzeg morza z twarzą zwróconą ciągle ku nimfie.

Ona szła wolno za nim — wyciągnęła przed siebie białe ramiona, włosy jej szarpane wichrem chwiała się za nią jak złote węże — wzrok jej wtopiony we wzrok Fauna — zdawał się przytrzymywać i zachęcać.

Doszli do krańca skał nadbrzeżnych. Już było widać spienione grzywy wściekłych fal morza, Faun zatrzymał się chwilę na krawędzi — i wyszeptał...

Dla ciebie.....

Krótki krzyk przerażenia wyrwał się z piersi nimfy — Faun obsunął się po stromym brzegu w spienione morze...

Nowy błysk gromu rozświetlił noc. Po nad spienionem morzem, które sięgało już krawędzi skalnej — stała na skale biała nimfa i patrzyła obłąkanami oczyma w szalejące morze...

Od dalekiego horyzontu morza dochodził dziki chychot potworów morskich.

W szare dni jesienne, gdy zwiędły liście winogrodu opada z łąciny z cichym szelestem, jak muśnięcie skrzydła śmierci — gdy białe motyle spadają na gładkie morze, jak płatki śniegu — gdy w liściach z drzew migdałowych upadłych układa się na sen zimowy żółt grecki. —

I w nocie jesienne — budzone ze snu cichem muśnięciem skrzydeł przelatującego w szarej pomroce ptaactwa wędrującego na północ, błądziła z rozwianymi złotymi włosami biała nimfa i budziła uspięne echa żalosem wołaniem.

Gdzieś ty... już nie chcę pereł wróć do mnie...

Stawała nad spokojnie i rozkosznie oddychającym morzem, które miękko gładkało nadbrzeżne kamienie i z cichym siodkim szmerem kładło się na biały nadbrzeżny piasek.

— Wróć mi go o nielitościwe...

Ale morze tak samo pieściwie kładło łagodne fale na piasek, tak samo cicho i rozkosznie oddychało, olbrzymia i gładką pierśią — nieme.

I już nigdy z tej strony winnie nie słychać było słodkich i namiętnych tonów fletni i żadne echo nie odpowiadało na żalose skargi stęsknionej nimfy.

WOJCIECH PIOTROWSKI.

KARY.

Las był brzydki, ściółka wymieciona. Sosny stały szeregami, jak grzeczne dzieci. Gdzieniedzie tylko, w miejscach mniej zarosłych, czaił się wrzós i mehy. Jedyną ozdobą były stare odziomki, to jest ścięte pnie zgniłe i porośnięte bujnymi mechami i zieliskiem. W oddali błyszczały w słońcu białe pnie brzoź i zieleniły się czuby młodych smereków. Miejscami były zapadłe sapiaste gołoborza, porosłe szarozieloną szeczotkową trawą. W najniższych miejscach lśniła się rdzawa woda. Zwierzyny było tam bardzo mało. Bardzo rzadko trafiły się kraski, które, wrzeszcząc przeraźliwie, przelatywały z chojaru na chojar. O sarnach nie było mowy, a zajęcy nie było wcale. Po lesie leżały nogi końskie z kopytami, oszczypane przez psy, żebra i łby walały się, pokryte mrówkami. Wokoło rozchodził się odór padliny. Las kończył się olszowami zarosłami i moczarami. Wśród olszyn coraz częściej białą końską kości i czasami zamajaczył pies wśród zieleni. Tuż za lasem był wykopany duży dół, zawałony czerepami końskimi, a w dole masa psów dziedzicznych, charkoczących, jak wilki, przy ścierwie. Nad dołem leżał koń ciemnej maści. Zachodzące słońce strychowało skośnie wystające żebra i rzuciło ciemno fioletowe cienie na skórę, pokrytą rzadkim włosem. Całą przednią łopatkę miał sparszywiłą, w środku mniej więcej był wrzód, z którego powoli sączyła się ropa. Na wrzodzie siedziały wielkie niebieskie muchy. Słońce zapalało czerwone błyski w jego oczach i wypełniało ciemnym cieniem doły, będące nad oczami.

Leżał tak, w chwale krwawego oświetlenia zupełnie obojętny. Zapachy dalekich łąk i lasów mieszały się z zapachem trupów końskich, a on, owiany wonią potwornej kadzielnicy, celebrował nabożeństwo ogromnego zubożenia. Uwiązany był na kantarze a ta na twardym postronku do kółka, wbitego krzywo w darń. Kołek był rozbity wbijaniem, że koniec jego tworzył coś podobnego do kropidła. Co chwila ruchem głowy spędzał siedzące muchy, które, zatoczywszy w powietrzu kilka łuków, siadały z brzęczeniem na świeżej ropie. W pobliżu stał dom „hyela“, czyli tak zwanego przez ludzi dystyngowanych, „czyściciela“. Dom cały składał się z dwóch izb, przedzielonych sienią. W jednej z nich pani „czyścicielowa“ gotowała wieczorną warzę, a Wieek, pomoconik hyela, przemywał sobie ranę na brudnej nodze. Zapewne był pokąsany przez jakiegoś psa, broniącego się. Zalaatywał tak padliną, że pani majstrowa co chwila krzywiła się i spluwała.

W sąsiedniej izbie Zosia, najstarsza córka oprawców, wpajała w młodsze rodzeństwo zasady z katechizmu. Co chwila rozlegały się tam przekleństwa, bicie i bek bębnow.

Przed domem stała „buda“, czyli wóz z klatkami na psy. Oprócz domu była stodołka, w której pozamykane psy-więźnie były przeraźliwie. Pod stodołką na rozponkach suszyły się do słońca skóry psy.

Sam pan czyściciel paproszył dużego białego psa. Wyjmował dymiące wnętrzności, na które patrzyła jakaś bardzo chuda suka. Sutki miała obciążone przez szczenięta do samej ziemi. Boki jej były zapadłe, oczy bez blasku nie chciały nieczego dla siebie.

Robił się wieczór. Słońce zupełnie się schowało. Z pól, z łąk szedł pyszny zapach kwiatów zroszonych i ziemi-matki. Wtem ozwał się głos pana majstra: „Wiecek chorobo, idź uduś tę szkapę... „ciec! go inoby się strusia wylegiwał... nuże!“

Z pod lasu słyhać było nawoływanie kuropatw. W niedalekich mokrzadkach odzywał się derkacz. Księżyc wychodził wielki, czerwony, zaspany. Na jasnym tle księżycy rysowały się czarnością aksamitu zarośla. Z dołu wzyerały oświetlone światłem miesiąca końskie kości. Nad światem poczęło się błogosławione panowanie nocy. Las zupełnie zamilkł, stał cicho bez szelestu. Boszne sosny wyciągały powyginane gałęzie, jakby wołając całemu stworzeniu: „Błogosławimy was na ten krzepiący“. Z łąk dalekich dobiegło rżenie koni. Szło ku dołowi na miękkich falach zapachu polnego. Kary rozdał chrapy i podniósł się z ledwością. Następnie zarzął za siebie jęklivi. Powtórzył parę razy rżenie, które wstrząsało nim całym. W oddali zamajaczyła postać Wiewka z postrokiem.

Z. KŁOŚNIK.

MAKSZYMA GORKIEGO „NA DNE ŻYCIA“.

Przytułek bezdomnych! Sutereny, podobne raczej do podziemnej pieczary — wilgotnej, zadymionej, ciemnej, do której zaledwo trochę dostaje się światła przez małe, kwadratowe okienko; kilka w niej najniezbędniejszych brudnych, połamanych sprzętów, rząd barłogami zaścielonych tapeczanów — oto przygodne schronisko ludzi ze świata trudnej do opisanja biedy i mętów społecznych: ślusarz Kleszcz z kona-jącą żoną, złodziej Piepiel, materyalnie i moralnie zbankrutowany Baron, czapnik Bubnow, pijaczka Naścia, aktor, notoryczny pijak, Grek Satin, Aleszka, szewe, nie zepsuta jeszcze dziewczyna Natasza, siostra Wasilisy, żony właściciela przytułku Kostylewa i kochanki Piepiela...

Lokatorowie Kostylewa — przedewszystkiem mężczyźni — są ludźmi tak upadłymi moralnie, tak zatracili w sobie wszelkie delikatniejsze uczucia, taką dla samych siebie żywią pogardę, że zimny, wyrafinowany ich cynizm musi budzić grozę. Anna, żona ślusarza, jest umierająca. I nie tylko, że nikt żadnego nie objawia jej współczucia, weale się o nią nie troszczy, ale jeszcze wszyscy, z mężem na czele, okazują jej niechęć, prawie nienawiść za jej kaszel, za jej jęki... Z jednej strony jej tapeczanu dwóch nędzarzy zabawia się szachami, z drugiej czterej partnerzy zawzięcie grają w karty. Krzyki, śpiewy, przekleństwa... „Zaczął się dzień! — narzeka Anna. — Na miłość Boga... nie krzyczcie... nie knijcie!.. Dajcie choć umrzeć spokojnie“. „Hałas śmierci nie przeszkadza...“ — odpowiada jej Bubnow.

A jednak ci ludzie nie są źli. Nie, nieszczęśliwi ci nie są z natury ani straszni, ani nieczuli. Oni zatracili w sobie tylko poczucie złego i dobrego. To prawda, że nie wzrusza ich cierpienie bliźniego, ale też na szczęście drugich także obojętnie patrzą. Wła-

śny upadek nie przeraża ich, ale też nie unoszą się marzeniami o możliwości podźwignięcia się ze swego upadku. Światło, czy ciemność — to im już dawno wszystko jedno. A przecież, mimo tego zobojętnienia, każdy z nich cierpi w głębi duszy. Do ich umysłów zakradają się niekiedy słabe, nikłe przebłyski dawnych dni... Zapomnieli już, czem dobre różni się od złego, ale pamiętają, że widzieli to kiedyś. Gdyby mogli, zbudziwszy się pewnego dnia, rozpocząć nowe życie, z jakąż rozpoczęliby je ochotą. Nie mogą jednak. Od świtu — Bubnow, siedząc na swoim barłogu, rozkłada na kolanach podarte spodnie i przemysłwi, jakby wykroić z nich czapkę, ślusarz Kleszcz, przypasowuje klucze do zamków, piłuje żelazo, które zgrzyta i piszczy. Grek Satin zastanawia się głośno, kto to mógł być, co go tak zbił wczoraj, że dziś jeszcze wszystkie członki go bolą... I każdy z nich czuje się porwanym w to zębate koło, nad wszelki wyraz nędznego a wspólnego im wszystkim życia. Niepodobna mu się oprzeć. Ale ta niemożebność stworzenia sobie innej, lepszej egzystencji, ta nieodparta konieczność pozostawania w tej, albo innej, poddanej jaskini, to najstraszniejsze może zło, jakie może duszę ludzką dotknąć: to ból znużenia.

Każdy z tych nędzarzy jest okropnie zmęczony. Zmęczony życiem, zmęczony nadzieją, zmęczony nawet utratą nadziei i to jest powodem, że nie mogą nie poddawać się złemu i nie mają w sobie ni siły, ni woli, by przygotowującym się w ich oczach i dokonanym w końcu zbrodniom zapobiedz.

Pewnego dnia jednak, zjawia się w przytułku Kostylewa starzec Łukasz, i nagle wszystko się zmienia. Jakby promień jaśniejszego światła wraz z przybyciem starca do ciemnej wiecznie wniknął otehlani. Nie nieznaczącymi na pozór, a posiadającymi jakąś moc magiczną słowami pociechy, nadziei, współczucia, Łukasz przeistacza zwolna prawie wszystkich tych ludzi w szczęśliwych niemal... Annie, której całe życie było jednym pasmem niestannej męki i którą, gdy już prawie umiera, dręczy obawa, że męki te i na tamym jeszcze nie skończą się świecie, mówi, że tam, przeciwnie, odpocznie nareszcie i wieczny znajdzie spokój. Mówi jej o tem tak przekonywująco, z taką pewnością, jakby wprost z niebiańskiej przybywał krainy. Nieszczęśliwa żona Kleszcza, zupełnie pocieszona zapewnieniem o lepszej przyszłości, zaczyna nawet ludzi się nadzieją, że wyzdrowieje — radaby żyć jeszcze. „A... może... — pyta nieśmieie — może wyzdrowieję?..“ „Na co? — odpowiada jej, dobrotliwie uśmiechając się, starzec. — „Na nową mękę?“ „No... jeszcze troszkę... — mówi chora — choć troszkę jeszcze pożyć... Jeżeli tam męki nie będzie... to można jeszcze przecierpieć trochę... tutaj“. Aktora, któremu organizm zniszczył nieuleczalnie alkohol, zapewnia Łukasz, że jest miasto — nazwy jego nie przypomina sobie na razie, ale później mu powie — gdzie bezpłatnie a najniezawodniej skutecznie leczą alkoholików. Będzie mógł udać się tam niedługo, ale trzeba, żeby odtąd przestał pić zupełnie... Aktor wierzy w to kłamstwo i ludzi się nadzieją... Sili się odzwyczaić od wódki... „Pracowałem dzisiaj — szczyci się — zamiatałem ulice... a wódki nie piłem! Po co? Ot, pieniądze, a ja — trzeźwy!“... Zręcznym podejściem przeszkadza Łukasz Piepielowi zamordować Kostylewa z namowy jego żony a swojej kochanki Wasilisy, poczem radzi mu udać się na Sybir, gdzie taey, jak on, zuchy, zawsze mogą znaleźć zarobek

i prowadzić życie uczciwe, spokojne. Piepiel go słucha i przygotowuje się do podróży. Chce zabrać ze sobą Nastaszę, z którą się ożeni. Dziewczyna nie kocha go wprawdzie, ale pragnie wyjść za uczciwego człowieka i zgadza się na jego propozycję.

Słowem, Łukasz, tworząc dla niektórych z tych ludzi projekty na seryo, wymyśla przede wszystkim kłamstwa, kłamstwa takie kojące, takie zbawienne dla dusz zmęczonych, zranionych...

I pod wpływem tych złudzeń, rozpoczyna się nowe, lepsze życie w przytułku — nie na długo niestety! Kostylewowa, zazdrośna o swego kochanka i o siostrę, wywołuje kłótnię i bójkę, której zakończeniem jest śmierć Kostylewa, zadana ręką, stojącego w obronie Nastaszy, Piepiela. Piepiel, mimowolny zabójca, i jego kochanka Wasilisa dostają się do więzienia. Tajemniczy starzec znika niepostrzeżenie, jak niepostrzeżenie przyszedł, a po jego odejściu mieszkańcy schroniska do dawnej wracają nędzy moralnej, dawna ogarnia ich ciemność...

Gdyby nie wypadek z Kostylewem, wszystko pomyślny wzięłoby obrót. Piepiel byłby żył spokojnie ze swoją młodą żoną. Ladacznicą Naścia, byłaby także jeła się uczciwej pracy; ślusarz Kleszcz byłby się przeniósł ze swoim rzemiosłem do jakiegoś mniej strasznego miejsca, mniej zabójczego moralnie. Może i aktor byłby dostał się do tego miasta, gdzie alkoholików leczą skutecznie a bezpłatnie...

Łukasz, który dużo widział, dużo doświadczył i dużo przecierpiał, doszedł w końcu do sensu moralnego, że nad ludźmi trzeba mieć litość, że przez litość trzeba ukrywać przed nimi straszną rzeczywistość, że dobrze jest pozwolić im ludzi się.

Opierając się na tej zasadzie, opowiada np. ten starzec-filozof Nastaszy następującą historję: Było to niedaleko Tomska, w zimie. Łukasz był stróżem leśnej posiadłości jakiegoś inżyniera, znacznie oddalonej od innych siedzib ludzkich. Dom inżyniera w zimie stał pustką, Łukasz sam w nim mieszkał. Otóż, pewnej noc usłyszał złodziei, dobywających się do okna. Wziął strzelbę i poszedł zobaczyć. Złoczyńcy chcieli się dostać przez okno do mieszkania. Starzec poprosił ich grzecznie, żeby zaniechali swego zamiaru. W odpowiedzi na to zagrozili mu toporami. „Wtedy ja — mówi Łukasz — przykładam strzelbę do ramienia i wołam: idźcie precz, bo strzelę. Przerażeni złodzieje padają przedemną na kolana i błagają o litość: „Staruszk, mówią, na miłość Boską, daj chleba. Idziemy, mówią, przymierając głodem“. Ot, i masz, kochana... tych z toporami! Tak... dobrzy chłopcy byli, obydwu... Mówię im: a wy dlaczego nie powiedzieliście odrazu, że chcecie chleba. A oni — sprzykrzyło się, mówią... prosić i prosić, a nikt nie daje... wstyd!... I tak całą zimę u mnie przebyli. Jeden z nich, Stefan, bierze, bywał, strzelbę i idzie na połowanie do lasu... Drugi, Jakób, chorował ciągle, kaszlał... W trójkę strzegliśmy całą zimę domu, a na wiosnę — bądź zdrów, mówią, dziadku! I poszli... powlekli się do Rosyi... „To byli zbiegli, zesłańcy?“ — zapytnje Natasza? „Tak, zesłańcy... uciekli... Dobrzy chłopcy! Gdybym się był nad nimi nie zlitował, byłiby mić może zabili... albo co... A potem — sąd i więzienie, i Sybir... POCO? Więzienie nie naprawi i Sybir nie poprawi... a człowiek — poprawi... tak!

Człowiek może poprawić... to bardzo proste!“ Dalej w rozmowie z Nataszą, Piepielem i Bubnowem (Akt III.) powiada Łukasz, że człowiekowi nie zawsze trzeba otwierać oczy na prawdę życiową „Prawda, mówi filozof Łukasz, nie na wszystkie choroby jest dobrym środkiem... Prawda nie zawsze uzdrawia złałają duszę... Znałem jednego człowieka, który święcie wierzył w istnienie krainy prawdy i sprawiedliwości... I w najcięższych nawet chwilach, kiedy mu już nic innego nie pozostawało, tylko kłaść się i oczekiwać śmierci, nie czuł się bynajmniej nieszczęśliwym; uśmiechał się i mówił: to nie!... To minie! Nie długo już teraz będę cierpiał... Jeszcze trochę poczekam i porzucę wszystko, całe to życie, i pójdę do krainy prawdy i sprawiedliwości... To było jego pociechą... Ale do miejsca pobytu tego człowieka — na Sybirze — przybywa zesłańce, uczone... z książkami, z mapami, zwyczajnie jak uczone, ze wszystkimi sztukami... I człowiek ten rzecze uczonemu: pokaż mi, proszę cię, gdzie leży kraina prawdy i która droga do niej prowadzi? Uczony roztwiera książki, rozkłada mapy... patrzy, patrzy — nie, nigdzie niema krainy prawdy! Wszystko jest, wszystkie ziemie uwidocznił, a ziemi prawdy niema!... Człowiek nie wierzy... Powinna być, mówi... szukaj lepiej! A jeżeli jej nie znajdziesz, to księgi i mapy twoje do niczego... Uczony się obraził. „Map moich jestem pewny zupełnie, a ziemia prawdy nie istnieje weale“. Człowiek wpadł w złość. JAKO? Żył, żył, cierpiał i cierpiał, i stale wierzył, że jest ta wymarzona przez niego kraina, a z map okazuje się, że niema jej weale! Grabież!... I mówi uczonemu: ach ty, lotrze! Podły jesteś, a nie uczone... I po uchu go raz i drugi!... A potem poszedł do domu i — powiesił się!...“

Zbudzony więc ze złotych snów marzyciel, nie mogąc pogodzić się z rzeczywistością, kończy fatalnie... bo uczone nie umiał, czy nie chciał wznieść się do litości nad nim.

A jakież w rezultacie wydaje owoce litości Łukasza? Nieszczęśnym mieszkańcom przytułku Kostylewa chwilowo jaśniej się zrobiło, chwilowo dźwigał się z upodlenia, stają się silniejsi, nabierają chęci do życia, bo szlachetny starzec przesunął przed ich oczyma urojone obrazy lepszej przyszłości. Ale swoją filozofją nie wydobyl ich z piekła. I tak, Naścia np., która się upijała przedtem i pochlaniała książki o uczciwej i czystej miłości — to był jej sposób marzenia o „krainie prawdy i sprawiedliwości“ — ta Naścia nie upija się już i nie czyta, przepęnia ją natomiast nienawiść i odraza do jej współmieszkańców i do siebie samej, a nie może się ani ze swego otoczenia wydobyc, ani swojej doli dziewczyny poprawić. Jakież więc straszne przechodzić musi katy. A aktor? Ten aktor, którego miano uleczyć ze skutków zabójczego natogu — powiesił się, bo zrozumiał, że go okłamano. Podnosząc go kłamstwem „wniosłem“, ukryto przed nim „poziomą prawdę“, wśród której przebieg żył przedtem.

Litość więc jest godnem zalecenia uczuciem, zdaje się mówić Gorki w swojej sztuce, ale jeszcze więcej, niż potępiana w uzdrawianiu ludzkości przez Łukasza prawda, „nie na wszystkie choroby jest wskazanym środkiem“. A jakby dla zaznaczenia swego przekonania, którem telną wszystkie dotychczasowe utwory rosyjskiego autora, że dobrą jest litość, ale jeszcze lepszą prawda, wkłada on w usta Greka Sa-

tina w końcu czwartego aktu „Na dnie życia“ następujące słowa:

„...Ja rozumiem starca (Łukasza)... Tak! on kłamał... ale to z litości nad wami! Dużo jest ludzi, którzy kłamią z litości nad bliźnimi... ja — wiem! Ja to czytałem! Pięknie, wzniośle, zachęcająco kłamią! Jest kłamstwo, które pociesza i kłamstwo, które godzi z losem... — Kłamstwo usprawiedliwia ciężar, co zmiądzzył rękę robotnika... i obwinia tych, co umierają z głodu... Ja znam kłamstwo! Kto słabego jest ducha... i kto cudzymi żywi się sokami — tym potrzebne kłamstwo... jednych podtrzymuje, a drugim służy za pokrywkę... A kto sam jest swoim panem... kto niezawisły i nie pożera cudzego — temu na co kłamstwo? Kłamstwo — to religia niewolników i panów... bogiem wolnego człowieka jest — prawda!“

Najnowsza sztuka autora rzeczywiście doskonałych a nie schodzących z repertoaru miejskiego teatru we Lwowie „Mieszczan“, jest niezawodnie więcej jeszcze głęboką i więcej społeczną od swojej poprzedniczki i zasługuje najzupełniej, aby ocena jej wyszła z pod pióra któregoś z wytrawnych naszych literackich krytyków. Mojem skromnem zadaniem było tylko dać o niej ogólne czytelnikom pojęcie.

TAD. ST. GRABOWSKI.

JAROSŁAW VRCHLICKÝ I JEGO POEZJA.

W 50-ą rocznicę.

(Dok.) „Julian Apostata“ i „Bar-Kochba“ są to filozoficzne, poetyczno-dramatyczne utwory, opiewające wielkie usiłowania podźwignięcia upadającej przeszłości, usiłowania słusne, patriotyczne, szlachetne; w rzeczywistości jednak są to dzieje próżnej reakcji, — tragedye ludzkiej omyłności.

Chrześcijaństwo zwyciężyło Juliana, gdyż idea ducha jest zawsze silniejszą. Zmateryalizowana wiara nie da mocy, jak nie da jej i filozofia. Przeciwnie, znowu spirytualizm nie może jej dać, gdy zniszczy kompletnie prawa ciała. Gdzie się tak stało, n. p. w ascetyzmie, tam natura sama strasznie się pomściła. Na to wskazuje pieśń „Hilarion“, do której wstęp niejako stanowi pieśń „Socha“ (Posąg).

Ascetyzm padł, a na świat, przezeń zniszczony, wróciło wesele i uczucie, miłość i piękno. Helleńskie pogaństwo naprawiło niejako fanatyzm mniszego chrześcijaństwa. Gdziekolwiek tylko pustelnictwo nie zagrzezło zbyt daleko, — że się wyrażę — do negacji życia cielesnego, tam ono pomogło do podźwignięcia ludzkiej cywilizacji. Tam byli wielcy mężowie, wzory duchowej równowagi, którzy przedarli się ku chrześcijaństwu, wyrwali się z pogańskich szpon zawisłości od natury ku swobodzie nieśmiertelnego ducha, prowadzili swój naród ku źródłu nowej wiary, ku czuciu i miłości. Jasnym wzorem tego był w Czechach św. Prokop („Legenda o św. Prokopie“). Obu młodzieńcom, tak Hilarionowi, jak Prokopowi pomogły zgodne poglądy na wiarę do wspaniałego wlotu ku wyżynom duchowej potęgi i piękna.

Na osobną uwagę zasługują dwa poematy raczej, niż dramaty: „Hilarion“ i „Twardowski“, utwory pod względem formy będące naśladowaniem „Dziadów“ Mickiewicza, mieszaniną liryki, epiki i dramatu, co do treści echem „Fausta“. Ciekawe

są, jako nowe, wytworne, potężnego i tu zespolonego wpływu Goethowskiego „Fausta“ i Mickiewiczowskich „Dziadów“. Dla nas specjalnie „Twardowski“ o tyle zajmujący, że jest postacią naszą, legendą polską, którą tylko czeski poeta z całą swobodą zmieniał i przerabiał.

Sama filozofia tego utworu, jak i „Hilariona“ nie przedstawia nic oryginalnego, raczej jest słabą stroną dramatów, jak wogóle wszędzie u Vrchlickiego wszelkie filozoficzne-refleksyjne momenty. Na uwagę bliższą i rozbiór estetyczny zasługiwałyby raczej tylko pojedyncze ustępy liryczne, epizody epiczno-dramatyczne, lub wycieczki satyryczne tych utworów, (np. „Miłość studentka Twardowskiego“, „Łza“, „Portrety mitycznych kobiet“ i i. w „Twardowskim“).

Charakterystyczny ustęp z takiego epizodu satyrycznego p. t. „Zgniłe dusze“, przytoczę tu po czesku, gdyż przekładu polskiego dramatu tego niestety nie mamy:

„Cheeš ji vidět, hled' tu v letu
letí kol nás troska svět!“

Cert ji za rok skály chytíl
kotrmelcem v ni se sřitíl,
a Twardowski s proklínáním
do tmy rovněž skočil za nim,
sedli pustém ve výmolu;
čert sňal rychle pytel dolů,
zatrásl jim, sáh tam rukou.
Jako mouchy křídly tlukou
eos tam znělo — vytáh' v dlani
malou dušku. K popukání!

„...Kdo to?“ —

„Brusič, pozor dáva,
slova stale přitstihává,
infinitiv z genitivem
jsou mu většim než svět divem,
jak se hláska k hlásce skládá
větši div než Iliada.
Tak se světem postřkuje,
všecky knihy očmuhuje,
slovičky, jež stále sbírá,
umí, že drží všehomíra!
Směšný ehlap to!“

I tak dalej z wielkim humorem i dowcipem, jak widać z tej próbki, językiem cietym i jedrym, a pięknym maluje karykaturalnie szereg „zgniłych dusz“: demagoga, przywódecy ludu, „krytykusa“ pełnego sławy, którego

„pegazus je fraze,
vše chce miti v rovnováze,
jenom tiše, vlastenecky,
frasi těch má plně necky“,

dalej filozofa, reformatora narodu i i.

„Twardowski“ przedstawia ducha współczesnego, chorobliwego człowieka. Zrodzony z grzechem, kłątą obłożony, podpada władzy demona, który nań prze od wezesnej młodości, aby go osiąść. To jest skeptycyzm, niewiara, zwątpienie. Pieniądzmi uwodzi dziewczynę, lecz współuczucie dla niej obudza w nim sumienie i miłość. To wiedzie go ku dobremu. Rozłam między ziemią (materją) i niebem (duchem i wiarą), wtrąca go wkońcu w próżnię zwątpienia. Męki tego

rozdźwięku są jego czyscem. Byłyby piekłem i rozpaczą, gdyby go nie broniła boleść, żal znieprawionej miłości i zasługa dobrych uczynków i współczucia. Dobrymi uczynkami i uczuciem zasługuje sobie ten człowiek odkupienie. Rozumem nie mógł znaleźć Boga, znalazł go więc sercem.

Oto myśl przewodnia dramatu, do którego natchnęło czeskiego poetę podanie polskie.

Jeżeli teraz do tego wszystkiego, cośmy o Vrehlickym powiedzieli, dodamy jego prace literackie, prozaiczne, jak „Profile poetów francuskich“, studjum o Leopardim, Wiktorze Hugo, Mickiewiczu i i., które są znakomite, jak i jego wykłady w uniwersytecie czeskim, gdzie jest od r. 93 profesorem literatury powszechnej, jeżeli dodamy całą bibliotekę świętych, jak rzadko, tłumaczeń największych poetów świata: Dantego, Michała Anioła, Tassa, Aryosta, Byrona, Edgara Poe'go, Goethego, Szyllera, Leconte de Lisle'a, Baudelaire'a, Carducci'ego, Fozeola, Cammizara, Kamoensa, Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Gogola, Tołstoja i dalej mniej znanych, jak katalońskiego poety Verdagner'a, prowansalskiego Grasa i i., jeżeli wreszcie dodamy do tego całą powódź artykułów przygodnych najrozmaitszej treści, porzucanych po wielu piśmich — będziemy mieli całokształt literackiego dorobku czeskiego wieszca w ciągu lat trzydziestu.

Reasumując wszystko, co o Vrehlickym się słyszy i czyta, uderza nas dziwny dyssonans, jaki powoduje pewna część krytyki literackiej w Czechach. Faktycznie oślak wielu przyjaciół, ma ten poeta i wrogów wielu. — Zrazu rzuceno się nań za to, że jest uniwersalistą, że jest kosmopolitą, „ciżakiem“, jak go wzgardliwie przezwano. Ciasne umysły niedoroślego jeszcze do poziomu jego poezji społeczeństwa, nie mogły zrozumieć potężnego rwania się ducha poety w krainy nieskończoności wszechświata. Dziś po części te zarzuty ustały, społeczeństwo porosło w pierze, rozszerzyło swój światopogląd, zrozumiało nieco tę stronę duszy poety, jakkolwiek narodowi szowiniści do dziś nie szczędzą Vrehlickiemu zarzutów niepatryotyzmu.

Znaleźli się jednak inni, — oto najnowszy plód ewolucji myślowej i literackiej w Czechach tzw. „Katolicka moderna“, — oto rzuca się znowu na poetę za jego panteizm w motywach helleńskich, za jego zbyt ni entuzjazm nad starożytnością i jej pięknem, nad naturą i ciałem, — to niemoralne, — to za zmysłowe, za nagie! — A czegoż znowu nie zarzucą ci najmłodszy z najmłodszych, przeróżni „lumirarze“, „modernirevu'arze“, „dekadenci“ etc.! — obdrzeć go chcieli ze wszystkiego, co jest na nim, nie przynajmniej własnego, nie oryginalnego, nie nowego, pięknego.

I cóż jest tego powodem? — bezwarunkowo wielka stroniwość, zarozumiałość i bezwzględność, zwłaszcza tych najmłodszych, torujących „nowe drogi“ piśmiennictwu i ludzkości, a przynajmniej Czechom, deprecyjących bezlitośnie wszystko, co nie płynie z ich prądem, — z drugiej strony ciasnota pojęć, zacofanie starszych. Lecz są przyczyny, które leżą w samym Vrehlickym. Oto — przedewszystkiem bezprzykładna (chyba u Lope de Vegi) płodność, z którą idzie w parze — rzecz prosta — nie zawsze zupełna skończoność i świetność formy, czy pomysłu. Ta zdumiewająca produktywność poety i różnorodność wzbudza podziw i przeraża niejako, przygniata niejako swym

ogromem, budzi jakby naiwną obawę: cóż zostanie dla innych, co powiedzą następcy!

A dalej — zdaje mi się — wielką odegrało tu rolę pewne, zrozumiałe zresztą rozczarowanie społeczeństwa w późniejszej działalności Vrehlickiego po zbyt gwałtownych, zbyt gorących, entuzjastycznych uniesieniach przy pierwszym występie poety. Talent Vrehlickiego wybuchnął jak pożar stogów zboża od razu potężnym płomieniem, lecz sięgnawszy raz najwyższych wyżyn ducha, nie spada z nich już wprawdzie, utrzymuje się na nich, czasem chyba zawaha się tylko, ale wyżej się już nie wzbija. A tego masy nie rozumiały. Porwane na początku, chciały lecieć dalej i dalej i nie zadowolily się tem, gdzie ich potężny duch poety wyniósł, a razem z nim utrzymać się nie umiały. — Stąd pewne rozczarowanie, pewien zawód, pewien żal do poety.

Co za entuzjazm był po pierwszym odezwaniu się Vrehlickiego, świadczyć może artykuł Svato-pluka Czecha w „Narodnich Listach“, tego samego ucznia Vrehlickiego, którego dzisiaj przeciawstawiają poecie; świadczyć może cała, ogromna, żywa literatura, jaką wzbudził nasz poeta swem wystąpieniem, świadczyć wreszcie mogą słowa naszego Miriama w przedmowie do przekładu „Ducha i świata“: „sądzimy się w prawie powiedzieć, że znajduje się on (Vrehlický) w przededniu stworzenia wielkiej epepei ludzkości“. — Dziś tego nikt nie powie, jak nie powie tego sam Miriam, — wówczas było to zupełnie zrozumiałe.

Mimo ciągłych jeszcze napaści na Vrehlickiego — znaczenie jego, zasługi i sława nie zmniejszą się. Zawsze będzie on zajmował jedno z najpięwszych miejsc w literaturze czeskiej i słowiańskiej, a niepoślednie miejsce w literaturze świata, jako ten, co stworzył język i poezję czeską, co zapoznał społeczeństwo czeskie z Europą i Europę z Czechami, jako świetny stylista i natchniony wieszca, jako znakomity krytyk i niezrównany znawca i tłumacz arcydzieł literatury świata.

Dla nas będzie zawsze drogim i cennym, jako prawdziwy i poważny przyjaciel Polaków, świetny, jak nigdzie indziej tłumacz „Dziadów“ i „Nieboskiej komedyi“. Dlatego łącząc się z przeważną częścią społeczeństwa czeskiego, które zrozumiało Vrehlickiego i uczeiło jego jubileusz, dorzucamy dzisiaj i my do wieńca jego laurów tych kilka skromnych kwiatów uznania i szlemy czeskiemu poecie gorące pozdrowienie:

„Z wyżyny snów swych nie schodź triumfalne

Na bagna, kędy mądre siedzą plazy —

Nieuskromiony, jako wichur halny

Orlo się wzbijaj w zenit niedojrzaluy

I nieuchwytnie ścigając Szyrrazy

Eolską harfą drgaj w ciszy kryszta'nej!

Między gwiazd zblakaw świetne chryzopraxy

Oszalej raczej w objęciach Ekstazy...

Jako Faeton — słońca dzikie źrebce

W dal rozhukane puść marzeń Pegazy,

Nie dbaj, że snadź się wściekły sprzęg ich zdepcę —

Ruń, padnij raczej, niżbyś tam, gdzie ślepce

W jarzmo trzeźwości chyłł czoła wole,

Miał jasną w prochu tarzać aureolę!....

• • • • •

AFORYZMY.

242. Największą chwałą jest powołać do życia to, co trwać będzie, a co uczynione zostało dla jednego jedynie człowieka — nie przetrwa go.

Lemaitre.

243. Wielkie reformy pożerały zawsze tych, którzy je wprowadzali.

F. de Pressensé.

244. Nieprzyjaciela nie pokonywa się zniszczeniem jego armii, lecz jedynie zniszczeniem w nim nadziei zwycięstwa.

M. Aniczkow.

245. Największym smutkiem jest mieć rację wbrew swemu krajowi.

Achille Tournier.

246. Wszystko powinniśmy brać na seryo a nie tragicznie.

247. Obowiązkiem jest być użytecznym, nie jak się pragnie, ale jak się może.

H. F. Amiel.

248. Gdy się wywołało antypatyę swego kraju, dochodzi się łatwo do tego, że się zaczyna czuć antypatyę do swego kraju.

E. Renan.

249. Logika wypadków jest bardziej logiczną od logiki umysłu ludzkiego.

R. Dmowski.

250. Niema nic logiczniejszego nad rzecz nieprzewidzianą.

Shakespeare.

251. Czasem mniej byłoby więcej.

Lessing.

252. Każdy widzi w innej istocie to, co widzi w sobie samym, to też każdy zna ją inaczej i to tylko do poziomu swej własnej samowiedzy.

Maeterlinck.

253. W dziedzinie moralnej częstokroć łatwiej jest zmysłowi znaleźć prawdę, niż charakterowi uznać już znaną.

G. Topór.

254. Przywara może być bezinteresowną równie dobrze jak cnota interesowną; zawiść i zazdrość nie nie przynoszą.

b.

255. Zło jest prawem natury niższego rzędu, działającym wśród tych, którzy wyższy osiągnęli poziom.

Papus.

256. Myśl popada zawsze w brak związku, czy się rozwija na tle nadmiaru uczucia, czy jego braku.

A. Godfernaux.

257. Nieużytkowane siły ducha mogą takie same szkody wyrządzać w naszym świecie wewnętrznym, jak w zewnętrznym siły fizyczne, nie znajdujące dla siebie należytego ujścia.

R. Skrzyżki.

258. Siła ducha jest jedyną siłą, która idzie w kierunku największego oporu.

b.

259. Nie gasi się nadziei, gdy się dmucha na nią.

J. Liserol.

260. Wściekłość i okrucieństwo narodu walecznego o wolność wskazuje na stan, z którego wyjść pragnie, nie zaś na ten, do którego chce wejść.

Pestalozzi.

261. Czem jest życie wielkie? Jest to myśl młodości, urzeczywistniona w wieku dojrzałym.

Alfred de Vigny.

262. Sceptyk musi widzieć ciebie, inaczej nie wierzy w słońce.

263. Obecność śmierci nie wzbudza niepokoju w tych, którzy zrobili szlachetny użytek z życia.

De Heredia.

264. Trzeba, aby wola zmarłych się spełniła, w ten tylko sposób przeżywają samych siebie i liczą się jeszcze pomiędzy nami.

Alfons Daudet.

265. Człowiek nie może być wielkim, jeżeli nie wielela w sobie ducha jakiegoś narodu.

266. Można czasem zginąć, a zwyciężyć — właśnie tem, że się ginie.

K. Tetmajer.

267. Człowiek dzisiejszy wszystko uświadamia, a na nic nie umie poradzić.

H. Sienkiewicz.

268. Tylko to, co się nie da zastąpić, pozostaje niezapomnianem.

Vollmann v. Volkmar.

269. Powiedzieć gołosłownie „nie wierz“, tyleż warto, co i powiedzieć gołosłownie — „wierz“.

270. Niema nic równie silnego i ugruntowanego, jak uczucie, którego nie jesteśmy w stanie uzasadnić.

M-elle de Lespinasse.

271. Słowa bez sensu tłumaczą istotę uczucia tak ściśle, jak algebra.

S. Żeromski.

272. Człowiek jest tylko narzędziem obowiązku.

Fielite.

273. Możemy niejednakowo zachowywać się względem obowiązku, ale wszyscy chylimy czoło, widząc spełnianie jego przez innych.

W. Sheldon.

274. Człowiek tworzy pobudki, a nie pobudki tworzą człowieka.

Coleridge.

275. Wychować dziecko — nie znaczy to wcale nauczyć je czegoś, czego przedtem nie wiedziało, lecz zrobić zeń kogoś, kim pierwaj nie było.

J. Ruskin.

276. Uczymy nasze dzieci, czego nie należy robić, tylko ich nie uczymy, co robić trzeba.

R. Skrzyżki.

277. Niema przeszłości pustej lub ubogiej, niema zdarzeń marnych, są tylko zdarzenia marnie przeżywane.

Maeterlinck.

278. Pesymizm nie rodzi się pod wpływem trudnych warunków bytu i ciężkich stosunków otoczenia, znajduje w nich tylko usprawiedliwienie w oczach własnych.

b.

279. Człowiekiem istotnie odważnym nie jest ten, kto wykonywa jakiś wielki czyn odwagi, ale raczej ten, kto odważnie spełnia wszystkie czyny życia.

F. Fayot.